

Kalendarz Ewangelicki 2005

Łucja Cholewik

TRUDNE, ALE RADOSNE WSPOMNIENIA MAZURSKIE

(fragmenty)

W tę trudną tematykę wplatają się wspaniałe mazurskie wspomnienia z lat 1946/47 Ireny Heintze, które są bardzo ściśle związane z próbami wznowienia przerwanej przez II wojnę światową działalności ewangelickich parafii na Mazurach.

Irena Heintze z d. Goller, urodzona 23 lutego 1913 r., ukończyła Wydział Teologii Ewangelickiej Uniwersytetu Warszawskiego w 1938 r. jako druga teologini w Kościele ewangelickim w Polsce. Po studiach skierowana do pracy młodzieżowej, jako asystentka ks. Tadeusza Wójcika. W czasie wojny pracowała w fabryce obuwia. Zaraz po wojnie prowadziła sekretariat biskupa Kościoła, a w listopadzie 1946 r. pojechała na Mazury. Po roku choroba spowodowała konieczność powrotu do Warszawy. Ponownie podjęła pracę w sekretariacie. Od 1952 r. najważniejszym jej zadaniem było zorganizowanie kościelnego wydawnictwa. Przez wiele lat (1952-1967) była naczelnym redaktorem Wydawnictwa „Zwiastun”. Obecnie jest na emeryturze.

Rok 1946. Na każdym kroku i w każdej dziedzinie życia – olbrzymie straty i trudne do uzupełnienia braki. Ale trzeba żyć, trzeba podejmować próby powrotu do normalności. Każdy małe nawet krok do przodu to satysfakcja, radość i powód do serdecznego

uśmiechu, ale więcej jest smutnych odkryć, bolesnej zadumy, niedostatku, „dziur” i łamania głowy, jak je załatać?..

W takiej rzeczywistości znalazł się także Kościół Ewangelicko – Augsburski w Polsce. Szeregi duchowieństwa – mocno zdziesiątkowane. Wielu księży zginęło w obozach koncentracyjnych i w czasie działań wojennych, wielu nie powróciło jeszcze do domu, a ci, którzy stanęli do służby na zgliszczach i ruinach, w wielu przypadkach mają poważne kłopoty zdrowotne.

Koszmar wojny przerzedził szeregi duchowieństwa, powstała luka, którą można ocenić na ok. 10 lat. Ze wszystkich diecezji i regionów kraju docierają do Warszawy, do siedziby władz Kościoła Ewangelicko – Augsburskiego informacje o stanie materialnym i osobowym parafii, o braku opieki duszpasterskiej. Na przełomie lat 1945/1946 – jak podaje ks. dr Alfred Jagucki – było tylko pięciu duchownych na Mazurach, co praktycznie uniemożliwiało prowadzenie jakiegokolwiek pracy w wielu tamtejszych parafiach.

Irena Heintze, która w roku 1938 wraz innymi kolegami ukończyła teologię, pracowała wówczas jako sekretarka biskupa Kościoła Jana Szerudy. „Atakowana” coraz to nowymi wiadomościami o pozbawionych opieki parafiach – zadeklarowała biskupowi Szerudzie gotowość wyjazdu na Mazury.

W listopadzie 1946 r. wyruszyła do Olsztyna, gdzie powiadomiony o jej przybyciu ks. Edmund Friszke miał zapewnić jej kwaterę i wyznaczyć teren działania. Miała odbudowywać i organizować życie parafialne w dwóch miejscowościach: Langutach i Mańkach. Z Biesalu, gdzie została zakwaterowana, do Langut było 5 km, a do Maniek w przeciwnym kierunku – 8 km. Środek lokomocji – własne nogi.

Późnym popołudniem w Biesalu k. Ostródy stanęła w progu domu krawca. Zapadał listopadowy mrok. Dom był duży, ale w połowie nieużywany. Izba przeznaczona dla Ireny nie miała pieca. Kiedy krawiec zobaczył, że ma udzielić dachu nad głową kobiecie – nie krył niezadowolenia. Nie wykazywał większego zainteresowania przybyciem, bo zajęty był prasowaniem munduru miejscowego milicjanta. Wtem, w domu zgasło światło – „wybiło korki”. I wówczas okazało się, że „intruz” potrafi usunąć awarię! Uśmiech wdzięczności i odrobina życzliwości pojawiły się na twarzy i w oczach krawca. Ranek przyniósł kolejne niespodzianki. W nieopalanej izbie odczuwało się przejmujący listopadowy chłód, a woda w dzbanku i misce – zamarzała. Głodna i zziębnięta Irena wyruszyła w drogę do swoich parafii.

W obu miejscowościach stan kościołów nie różnił się wiele. Były zdezastowane. Żołnierze radzieccy niszczyli wszystko, co nie ucierpiało w czasie działań wojennych. Powyrywane zamki, połamane ławki, wykradzione sprzęty i naczynia liturgiczne, powyginane żyrandole (służyły Rosjanom za huštawki) i powybijane szyby. Świsł wiatru, chrzęst szkła pod nogami i ... od czego zacząć?

W Langutach kościół zamknięty na kłódkę otworzyła Irenie sołtyska. Ona także zaprowadziła ją do szkoły, gdzie zebrały się powiadomione wcześniej miejscowe dzieci. Irena zaprosiła je na lekcje religii, na których będą się spotykać co tydzień w szkole, a w niedzielę, wraz z bliskimi na nabożeństwa do kościoła. Próbowiła jeszcze rozmawiać z dziećmi, ale onieśmielenie i jakiś dziwny dystans wobec jej osoby utrudniały kontakt. Na zakończenie pierwszego spotkania zaproponowała, aby wspólnie, głośno zmówić Modlitwę Pańską. Głośno modliła się tylko ona...

Wzruszona sołtyska wyjaśniła jej po wyjściu ze szkoły, że te dzieci potrafią mówić i modlić się tylko w języku niemieckim. Stąd taka cisza i niemożność nawiązania kontaktu. To pierwsze od wielu lat „Ojcze nasz” po polsku, które sprawiło, że po policzkach sołtyski popłynęły łzy, usunęło wszelkie obawy i nieufność wobec Ireny. To sołtyska skierowała Irenę do mieszkającej w Biesalu wraz z córką i siostrą Mazurki pani Grosskreuz, która mogła przyjąć ją na mieszkanie. Jeszcze tego samego wieczoru, Irena przeniosła swój kuferek z domu krawca na nowe miejsce. Pokój był ogrzewany!

Samotność i wyobcowanie to uczucia, które towarzyszyły wówczas ewangelikom mazurskim. Mieszkańcami Langut i Maniek – podobnie jak i innych miejscowości – byli ludzie starsi, kobiety i dzieci. Mężczyźni jeszcze nie wrócili z wojny, albo już nie wrócą... Wraz z wyzwoleniem przybyli ze wschodu osadnicy, którzy w większości dręczyli rdzennych mieszkańców. To tak wygląda wolność?

Następnego dnia udała się do Maniek. Rzeczywistość taka sama jak w Langutach. Irena zaplanowała lekcje religii na soboty, nocleg na miejscu i w niedzielę nabożeństwa. Nocleg na miejscu, ale kto przyjmie? I znów pomógł przypadek. Nauczycielka w szkole wywieszała ogłoszenie dla rodziców. Irena zauważyła błąd: *florek* zamiast *wtorek*. Wdzięczna kobieta zaproponowała Irenie noclegi w szkole.

Dość szybko Irena zyskała zaufanie wśród swoich parafian. Wspólnymi siłami reperowali wyposażenie kościołów, zabezpieczali otwory okienne, aby wiatr nie hulał w czasie nabożeństw i przez wybite szyby nie padał deszcz oraz śnieg. Każda kolejna niedziela była

okazją do udziału w nabożeństwie i radości, że kościół wygląda coraz lepiej. W skupieniu słuchali kazania i wcale im nie przeszkadzało, że mówi do nich ksiądz kobieta.

We Wrocławiu służbę sprawował ks. Waldemar Preiss, który jednocześnie koordynował prace związane z przywracaniem życia parafialnego w parafiach ewangelickich na Ziemiach Zachodnich. Irena pojechała do niego z prośbą o nakrycia ołtarzowe, naczynia liturgiczne i lichtarze. Otrzymała dwa komplety!

Wysprzątane wnętrza kościołów, zreperowane ławki i żyrandole, nakryty ołtarz, krzyż, naczynia liturgiczne – można odprawić nabożeństwo komunijne! Irena prosi o pomoc szwedzkiego biskupa, który wraz z innymi duchownymi i świeckimi ochotnikami ze Szwecji działa w akcji niesienia pomocy tu, na Mazurach. Nabożeństwa niezwykle uroczyste i wzruszające. Wszyscy uczestnicy nabożeństw przystępują do Stołu Pańskiego. Chętnych do uczestniczenia w Wieczery Pańskiej było tak wielu, że komunikanty dzielono na cztery części, a wino solidnie mieszano z wodą.

W Langutach funkcjonowało duże gospodarstwo rolne. Większość parafian mieszkała w zabudowaniach gospodarczych (czworakach). Zarządzający tym gospodarstwem podejrzewał Irenę o szpiegostwo. Dopiero po długim czasie, kiedy obserwował jej działalność i zaangażowanie, wyznał, że na terenie gospodarstwa magazynowane są okna do kościoła! Najprawdopodobniej przygotowane były do wymiany, ale zawierucha wojenna pokrzyżowała plany. Nie trzeba było długo szukać chętnych do pomocy przy tym remoncie. W oszklonym na nowo kościele odprawiono uroczyste nabożeństwo komunijne.

Szwedzi dostarczali pomoc w postaci transportów leków, odzieży i artykułów spożywczych. Gospodarz Karkut z Maniek zaprzęgał konia do wozu i pomagał Irenie rozwozić dary wśród parafian obu miejscowości. Ponieważ dary przekazywała potrzebującym bardzo szybko, Szwedzi równie szybko dostarczali kolejne transporty pomocy.

Te wyprawy z darami jeszcze bardziej zbliżyły Irenę do parafian. Widziała ich nie tylko w ławkach kościelnych, ale i w ich obejściach. Poznawała ich kłopoty i starała się pomóc.

Pisała podania do sądu o odtworzenie dokumentów osobistych i sama zawoziła te podania. Interweniowała, gdy osadnicy próbowali przejmować gospodarstwa autochtonów, np. gdy w Mańkach kowal usiłował zająć gospodarstwo pewnej Mazurki. Nie pomogły rozmowy z wójtem, który – jak się później okazało – został przez kowala prze-

kupiony. Trzeba było szukać sprawiedliwości w odpowiednich urządach w Olsztynie. Udało się. Wójt wraz z kowalem musieli przeprosić Mazurkę.

Kościelna w Langutach cierpiała z powodu owrzodzenia nóg. Bolały nie leczone żyłaki i otwierające się rany. Kiedy w czasie jednej z wizyt Irena opatrzyła jej nogi i wręczyła maści i bandaże, kobieta rozplakała się serdecznie. Przez trzydzieści lat nikt nie zainteresował się jej schorowanymi nogami.

Kiedyś, po latach, już jako emerytka, pani Irena opowiadała na diecezjalnej konferencji księży i katechetek o kościelnej z Langut, chcąc w ten sposób podkreślić, że praca duszpasterska w tamtych latach polegała nie tylko na odprawianiu nabożeństw, ale duże znaczenie miała służba samarytańska. Wówczas jeden z kolegów księży, rówieśnik Ireny, zapytał ironicznie, czy wyobraża sobie, jak on – ksiądz – mógłby się interesować nogami swojej kościelnej...

Prócz Szwedów na Mazurach pomagała także szwajcarska akcja humanitarna. W Mańkach zamierzali zorganizować dom dziecka, gdyż osieroconych dzieci było sporo. Z najbliższej okolicy zgromadzono dwadzieścioro dzieci. Zgłaszali się nawet bliscy krewni opiekujący się sierotami, gotowi oddać dzieci pod opiekę Szwajcarów. Działający w ramach akcji humanitarnej przygotowali i wyposażyli budynek, zelektryfikowali całą miejscowość, jednak władze polskie po roku nie zgodziły się na prowadzenie domu dziecka przez obco-krajowców.

Irena Heintze spędziła wówczas na Mazurach jeden rok. Kłopoty zdrowotne zmusiły ją do powrotu do Warszawy.

Pięć lat temu Irena odwiedziła Languty (obecnie: Łęguty). Szukała znajomych twarzy... Smutna to była podróż. Spotkała jedną z ówczesnych konfirmantek. Wypytywała ją o swoich parafian. Wielu z nich już zmarło i to nie tu, wśród swoich i na swojej mazurskiej ziemi. Wyjechali, bo wśród nowych mieszkańców nie czuli się dobrze i nie byli dobrze traktowani, a wręcz usuwani, otrzymując do ręki paszporty.

Pani Irena chętnie wraca myślami do tamtych czasów. Rok, który spędziła na Mazurach, zapisał się w jej pamięci jako jeden z najwspanialszych i najchętniej wspominanych z całej wieloletniej pracy w Kościele.